

WYJŚĆ POZA GRE

Z Maciejem Rayzacherem rozmawia Wojciech Chudy

W.Ch. – *W drugiej połowie lat siedemdziesiątych spotkałem Pana po raz pierwszy na KUL-u. Na imprezie studenckiej – Kullages’u – recytował Pan wraz z Haliną Mikołajską Miłosza. Ten występ miał w sobie coś z podziemnego zakazanego owocu, Miłosza nie wolno było przecież drukować ani wystawiać.*

Mówimy o ethosie aktora. Jaka była droga aktora Macieja Rayzachera od dyplomu PWSTiF w 1962 roku w Łodzi (a może jeszcze wcześniej się to zaczęło?) aż do „kontrabandy” poetyckiej w zadymionych salach, do walki grą aktorską o jakąś prawdę sztuki i kultury?

M.R. – Dobrze, że w pierwszym pytaniu, jakie mi Pan zadaje padły dwa nazwiska, które odegrały w moim życiu tak ważną, zasadniczą rolę. Halina Mikołajska była tą osobą, która wprowadziła mnie w środowisko opozycji demokratycznej, ściślej w środowisko Komitetu Obrony Robotników. Z kolei poezje Czesława Miłosza odegrały bardzo istotną rolę w dziele kształtowania mojego światopoglądu, a także spojrzenia na poezję i jej rolę. To było jeszcze w latach szkoły teatralnej w Łodzi, kiedy przez Jarka Rymkiewicza zetknąłem się z poezją Miłosza. Odtąd już regularnie czytywałem spod lady numery „Kultury” Paryskiej i inne tomy Biblioteki Kultury: Orwella, właśnie Miłosza i wielu innych. I to był jakby kapitał, który nie od razu oczywiście zaczął procentować. Jeśli idzie o samą szkołę teatralną, to skończyłem ją z niejakim trudem i gdyby nie epizod teatralny występów w teatrze Dejmkę, to kto wie, czy w ogóle szkołę tę bym skończył. Właśnie udział w spektaklach Teatru Nowego również miał chyba poważny wpływ na to, że w końcu zacząłem być aktorem. Przedtem było wiele dyskusji właściwie bardziej literackich niż fascynacji związanych z zawodem i powołaniem aktora. Udział w spektaklach Nowego, epizody, które tam robiłem, dały mi smak tego, czym, może być prawdziwy teatr. Następnie były występy w Teatrze Ziemi Mazowieckiej, teatrze niezwykłym, jednym z niewielu na świecie, który swoje spektakle prezentował na barce, płynącej z biegiem Wisły. Następnie były inne teatry: Teatr Klasyczny, króciutki epizod w Teatrze Polskim zakończony wystąpieniem z tego teatru, kiedy twardo odmówiłem brania udziału w spektaklu *Bolszewicy*. Dalej sympatyczny pobyt

w teatrze STS zakończony Rozmaitościami, czyli wcieleniem STS-u do teatru Rozmaitości (to już właściwie był pogrzeb STS-u). Wreszcie Teatr Powszechny, teatr, który dał mi bardzo wiele w sensie rozwoju aktorskiego, a również, jak sądzę, rozwoju osobowości i właśnie w połowie lat siedemdziesiątych zetknąłem się tam z Haliną Mikołajską. Mój udział w przedsięwzięciach, które KOR w tym czasie podejmował, w sposób radykalny zmienił moje może nie tyle zapatrywania, ale na pewno postępowanie, również w dziedzinie aktorskiej. Myślę, że niewielu jest u nas takich aktorów, którzy mogą z czystym sumieniem powiedzieć, że nie „zapaskudzili” się – jak to się mówi – udziałem w różnego rodzaju imprezach mniej lub bardziej politycznych. Ja również brałem udział w różnych *Podhalach w ogniu* i audycjach, gdzie nie bardzo zwracałem uwagę na to, co biorę, co czytam i gram, chodziło tylko o to, żeby nie wypadać z obiegu. Chociaż zasadniczo moje poglądy były (tak jak przypuszczam większości moich kolegów) przeciwne tej rzeczywistości, w jakiej się znajdowaliśmy, to mnie wówczas dane było – właśnie dzięki Halinie – zetknąć się z ludźmi, którzy byli już po drugiej stronie, którzy dokonali tego wyboru nie tylko wewnątrz, ale i czynem. I za to jestem Halinie wdzięczny, tego jej nigdy nie zapomnę.

Jakie zdarzenia i przeżycia oddziaływały najsilniej na Pana model aktorstwa? Czy ważny był tu pobyt w Szkole Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, rola mistrza, wzoru zawodowego czy też inne obszary wartości: dom, rodzina, ojczyzna, opozycja demokratyczna, Kościół?

Pobyt w szkole nie był ważny, tzn. był ważny o tyle, że mogłem się zetknąć w Łodzi z Teatrem Nowym, a również z ludźmi takimi, jak: Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodek Krysiński, Waleńczyk i że miałem sporo czasu na czytanie tych książek zakazanych, które w bibliotece uniwersyteckiej w Łodzi były jednak dostępne. Dom odegrał w moim życiu na pewno wielką rolę, bo w domu było zawsze prawdziwie. Ojciec był fabrykantem, w cudzysłowie, bo po wojnie wszystko stracił. Matka była nauczycielką przedwojenną, której światopogląd ukształtowany został w środowiskach obozu legionowego. A więc dom na pewno był w ogromnym stopniu formujący z tym, że tak jak dla wielu Polaków – dla mnie dom to było podziemie, natomiast na zewnątrz trzeba było w mniejszym lub większym stopniu grać jakąś rolę. Przestałem tę rolę grać dopiero w momencie, kiedy zaangażowałem się w działanie opozycji. Kościół przyszedł jakby później, właściwie wtedy, kiedy zacząłem uczestniczyć czynnie w opozycji, wtedy również zacząłem być w Kościele. I tak już właściwie pozostało.

Czy aktor powinien podjąć każdą rolę? Chodzi mi o miejsce i rangę aktora w społeczeństwie i o odpowiedzialność w jakimś stopniu za świadomość ludzi w tym społeczeństwie. Wie Pan, te role Lenina, w których stale

obsadzano Machowskiego, albo role „sumiennego czekisty” czy „młodego sekretarza partii”. Czy należy je wziąć? A jeśli tak, to jak poprowadzić te role: broniąc postaci czy oskarżając je? Przyzna Pan, że może to być w pewnych okresach ważny problem moralny.

Oczywiście. Ja też miałem te dylematy i w pewnym momencie rozstrzygnąłem je. Jak mówiłem, to było w momencie, kiedy wskoczyłem, że tak powiem, obiema nogami w środowisko opozycji korowskiej. Wtedy już nie miałem oporów czy wątpliwości; nie brałem pewnych ról, po prostu przestałem brać. Przedtem owszem miałem takie wypadki, ale poza jedną taką koszmarną, a właściwie zabawną rolą, kiedy mi kazano recytować wiersz o radzieckim paszporcie Majakowskiego i którego to tekstu nijak nie mogłem się nauczyć, choć podpowiadano mi ze wszystkich stron, to oprócz tej sytuacji, właściwie jakichś większych, nazwijmy to „wdepnięć”, nie miałem. Oczywiście, zdarzały mi się jakieś nieciekawe postaci, role dwuznaczne lub płytkie; później jednak przestałem je mieć, po prostu nie brałem ich już. W związku z tym przestałem w ogóle być angażowany, były to bowiem takie czasy, kiedy mszczono się na tych, którzy byli niepokorni. Później zresztą w ogóle sprawa nie obsadzania przestała mnie interesować, tej sprawy dla mnie w ogóle nie było i teraz już na to nie zwracam uwagi.

Czy jednak to jest problem? – był oczywiście i myślę, że nadal jest. Trzeba sobie powiedzieć, że dzisiaj wprawdzie nie ma na szczęście angażowania na zasadzie terroru (jak nie weźmiesz roli jakiegoś komisarza, to nie zagrasz Hamleta), ale istnieją inne wybory moralne, które też trzeba podejmować. Namnożyło się na przykład masę ćwierćfilmów, ćwierćwidowisk teatralnych czy telewizyjnych. Mówię tutaj celowo ć w i e r ć, gdyż są to filmy, widowiska, przedstawienia niegodne często nazwy przedstawienia ani filmu. I udział w tym przedstawieniach powinien być również oceniany z punktu widzenia etyki aktorskiej. Zagranie w filmie, który nosi absolutnie znamiona filmu pornograficznego czy może półpornograficznego, powinno podlegać również jakiejś ocenie moralnej i tutaj co do tego nie ma wątpliwości. Zawsze aktor jest poddany pewnej próbie i jak wyjdzie z tej próby, to jest właśnie sprawdzian jego sumienia, wrażliwości, jego odpowiedzialności aktorskiej. Także zmieniły się instrumenty polityczne, przestały odgrywać dominującą rolę, ale zaczęły być aktualne inne pokusy i inne tereny, na których człowiek parający się aktorstwem poważnie, biorący poważnie swoje zadanie jako aktora, musi się sprawdzać.

Czy mógłby Pan wskazać na postaci polskiego teatru i filmu, które jakoś stanowiły wzór tego ethosu, jaki Pan uznaje i reprezentuje?

To pytanie właściwie mamy już za sobą. Niewątpliwie największą rolę, jeśli chodzi o moje życie aktorskie, odegrała Halina Mikołajska. Ona rów-

niez wpłynęła na taki, a nie inny wybór moich zainteresowań poezją, choćby poezją Karola Wojtyły, z którą to poezją wędrowaliśmy po kościołach warszawskich.

Zawsze – takie odnoszę wrażenie – życie było u Pana pierwsze przed sztuką, aktorstwem. Przed rokiem 1980 było to – prócz wspomnianego niekonformistycznego aktorstwa – działanie w obronie rolników w Bieszczadach i Jerzego Markuszewskiego, reżysera represjonowanego politycznie, Komisja Helsińska. Potem internowanie – Białoteka i Jaworzno. Zniknął Pan z oczu publiczności. Dowiedziałem się dopiero w 1988 roku (po nagrodzie „Powściągliwości i Pracy”), że zaangażował się Pan w tych obszarach, które najmniej kojarzą się z aktorstwem: że pracuje Pan wśród niepełnosprawnych, z niewidomymi, jest Pan wychowawcą w Domu Dziecka. Jak to się skojarzyło z Pańskim powołaniem?

To prawda, że ja zawsze mniej byłem chyba aktorem, w każdym razie przestałem nim być w tym sensie, w jakim to się uważa powszechnie, zwłaszcza zaś przestałem nim być w momencie, kiedy zacząłem angażować się w sprawy społeczne i aktorstwo przestało odgrywać dla mnie tę rolę, jaką miało może w okresie, kiedy rozpoczynałem tzw. karierę. Pod koniec lat siedemdziesiątych właściwie już można było powiedzieć, że zrezygnowałem z tej kariery, z liczenia na to, że aktorstwo jest dziedziną, w której będę mógł się jakby życiowo sprawdzić. Przestałem liczyć na to, że moje dokonania będą miały miejsce w teatrze, czy w telewizji lub w kinie. Zobaczyłem wtedy, odkryłem spory obszar, możliwości, które do tej pory wydawały mi się niedostępne albo których po prostu nie dostrzegałem. Poznałem wielu ludzi, którzy jasno i zdecydowanie głosili swoje poglądy. Nie tylko głosili: oni po prostu udowadniali, że to, co się mówi należy również wyrazić działaniem – i to działanie pociągnęło mnie. Było to naturalnie działanie przeważnie sprzeczne z tym, co było pokazywane oficjalnie i sprzeciwiało się temu, co było dobrze widziane przez władze. Zetknięcie się z tymi ludźmi i z tym, co oni robili i jak robili, spowodowało moją przemianę. Zaangażowanie się w to działanie, czynny w nim udział, później jakieś związane z tym perypetie prawno-milicyjne umocniły mnie w przekonaniu, że aktorstwo, kariera są mniej ważne w porównaniu z tym, co można zrobić i co należy zrobić dla społeczeństwa. I tak już właściwie pozostało. Uważam zresztą, że te lata mojego aktorowania były czymś potrzebnym, stanowiły jakieś doświadczenie: niewykluczone, że to właśnie pewna rutyna i obycie się ze sceną, większa odwaga w odzywaniu się i publicznym zabieraniu głosu, wzmocniły moją determinację na płaszczyźnie opozycyjnej. Nadal zresztą uważam, że jestem aktorem. Natomiast nie chcę i myślę, że to już nigdy nie będzie miało miejsca, powrócić do tego, co proponował i dawał mi teatr, właśnie ten etatowy, zawodowy teatr, wraz z tym wszystkim co z sobą niósł i może nadal jeszcze niesie.

Natomiast mój udział w przedsięwzięciach, z którymi od pewnego czasu się związałem, tzn. praca z niewidomymi, ze środowiskiem osób niepełnosprawnych, ostatnio zaś z dziećmi z Domu Dziecka, wiąże się również w jakiś sposób z moim aktorstwem. Do niewidomych trafiłem właśnie poprzez aktorstwo. Poproszono mnie po prostu o udział w konkursie recytatorskim w funkcji członka jury. Później zapytano, czy bym nie popracował z niewidomymi, nie poprowadził ich zespołu – zgodziłem się i tak zostało do dziś. W Domu Dziecka (najpierw zaś w Ośrodku dla dzieci niedowidzących) miałem również zajęcia parateatralne. Bardzo zresztą żałuję, że zostałem zmuszony do zrezygnowania z tej pracy, myślę że miałem z tymi dziećmi dobry kontakt. Chciałbym kiedyś coś dla nich jeszcze zrobić. Niestety nie zawsze nasze chęci, możliwości i starania są w zgodzie z tym, co jest realnie możliwe, bardzo to bolesne, że ograniczenie to dotyczy także tych najbardziej poszkodowanych, tych, którzy tak bardzo potrzebują naszej pomocy, otwartości i podania ręki. To są nadal jeszcze bardzo zamknięte obszary. Domy Dziecka to są właściwie u nas domy – nie zawaham się użyć tutaj tego porównania – archipelagu Gułag. I to, że właśnie tak jest, skłoniło mnie do podjęcia tam pracy. Nie chciałbym nikogo krzywdzić uogólnieniami, ale ten dom, z którym ja się zetknąłem (Dom Małego Dziecka w Warszawie na Nowogrodzkiej), to jest dom szczególny, dom gdzie szczególnie trudno jest dać dzieciom to, co im do życia jest najbardziej potrzebne, tzn. wiele serca, tego, co powinno być jakby na pierwszym miejscu, tzn. ciepła bezpośredniej rodzicielskiej opieki. Ja próbowałem jakoś kruszyć te przepisy, jakieś formalne zakazy, ten sztywny rytuał, ale trafiłem na zdecydowany opór. Często nie jest to wina ludzi, którzy tam pracują, jest to w dużej mierze kwestia warunków pracy, np. tego, że jest ich tak niewielu do tak ciężkiej pracy. Winiłbym tutaj cały system opieki nad tymi dziećmi. Brak m.in. otwarcia na zaangażowanie społeczne, na aktywność tych, którzy chcieliby wejść do takiego domu z pomocą. Przepisy rzeczywiste czy rzekome stawiają zaporę ludziom, którzy by na pewno przyszli, choćby nawet społecznie pomagać w takich domach. Powoduje to atmosferę zamknięcia, pewnego odosobnienia, lęku przed kontaktami z zewnątrz i to głównie uderza w dzieci, ich psychikę, wywołuje obawy przed czymś nieznanym. Dom Dziecka to miejsce, które zrobiło na mnie wielkie wrażenie – niestety znowu zrezygnowano ze mnie. Na razie nie mam tam powrotu. Chciałbym bardzo coś dla tych dzieci w przyszłości zrobić.

Wreszcie już całkiem ostatnio zaangażowałem się i zostałem wybrany prezesem Katolickiego Stowarzyszenia Pracy i Nadziei. Stowarzyszenia, które ma w swym statucie zapisaną pomoc ludziom samotnym, bezdomnym, uzależnionym od nałogów, również niepełnosprawnym. W ciągu dość krótkiego czasu udało nam się otrzymać w darze dwa domy. Jeden z domów będzie przeznaczony dla kobiet bezdomnych, między innymi dla opuszczających więzienie w Bulowicach koło Kęt, w pobliżu Bielska Białej. Jest on

już – można tak powiedzieć – zagospodarowany. I to będzie w kraju bodaj pierwszy taki dom, od dawna – tak nam się wydaje ogromnie potrzebny kobietom samotnym, bezdomnym, opuszczającym więzienia i często nie mającym domów, bo już te domy straciły i nie miały faktycznie gdzie pójść – droga była jedna, wiadoma: ulica – i koło się zamykało. Oczywiście, ten dom nie rozwiąże nawet w części problemu, ale jest już jakimś promykiem nadziei. Dom przeznaczony jest dla około dziesięciu do piętnastu kobiet. Będą mogły tam pracować nakładczo w samym domu, a również w okolicznych zakładach pracy – mamy nadzieję, że uda nam się załatwić tę pracę. Sam dom będzie prowadzony przez dwie koleżanki, które należą do naszego Stowarzyszenia, mają duże doświadczenie i miały już do czynienia z kobietami samotnymi, z dziećmi, prowadziły m.in. domy samotnej matki, pracowały z niewidomymi, niepełnosprawnymi ludźmi. Drugi dom, o którym może mniej bym na razie chciał mówić, mieści się pod Skierniewicami i jest to jeszcze w trakcie przekazywania. Duży dwupiętrowy dom na przeszło sto miejsc, z przeznaczeniem dla mężczyzn. Tutaj również chcielibyśmy, aby dużą rolę odgrywała praca.

W ogóle praca według założycieli Stowarzyszenia ma być tą pracą, o której mówił brat Albert – przez pracę do pełnego człowieczeństwa; praca nie jako przekleństwo, nie zadanie ponad siły, ale praca, która uszlachetnia, która daje człowiekowi poczucie godności, pozwala mu odzyskać godność. Myślmy również o tym (może się to da zrealizować, dzięki różnym szlachetnym koneksjom, znajomościom), aby w tych domach było miejsce na kulturę, aby także sztuka zajęła należne miejsce wśród tych ludzi. Na końcu wreszcie – chociaż o tym może trzeba było powiedzieć na początku – jest rola duchowości. Otóż tak w jednym, jak i drugim domu nie wyobrażamy sobie, aby można było cokolwiek zrobić bez Boga. W Bulowicach, w domu, który jest była placówką sióstr zmartwychwstanek, od których ten dom „dzierżawimy” znajduje się kaplica i będzie ona z pewnością miejscem szczególnym tego przedsięwzięcia. Również w Skierniewicach będzie kaplica.

To tyle, jeśli chodzi o to, w co ostatnio angażuję się i co mnie absorbuje.

Szczególne rozumienie roli aktora w społeczeństwie, a także sposób Pańskiej gry – żarliwość głosu, skupienie i przyciszenie sylwetki scenicznej – kojarzą mi się z postacią księdza Jerzego Popietuszki. Czy wcieliłby się Pan w tę postać? Czy czuje ją Pan? Czy to tylko moje przywidzenia?... Z tym wiąże się sakramentalne pytanie w rozmowie z aktorem: jakiej roli Pan pragnie? Czy jest taka rola?

Nigdy nie pomyślałem, że ktoś mógłby mnie kojarzyć z postacią księdza Jerzego. Nigdy nie myślałem, że mógłbym odtwarzać czy wcielić się w tę postać. Nie wiem po prostu, czy mógłbym. Nie zastanawiałem się nad tym. Nie mam też żadnej upragnionej roli – nie, nie ma takiej roli. Myślę, że to,

co robię – muszę się odważyć to powiedzieć – robię dlatego, że po prostu oddałem się w służbę Matce Bożej i jestem jej niewolnikiem, chcę, żeby ona mnie prowadziła. Nie udaje mi się to oczywiście, to normalne, zwyczajne, że nie zawsze udaje mi się być Jej dzieckiem. Ale chciałbym nim być, próbuję być. W związku z tym nie chodzi o role, o których ja marzę, tylko o to, co Ona chce, żebym robił. I to jest dla mnie najważniejsze. Jeśli więc będzie jakaś rola, która będzie dla mnie ważna z tego punktu widzenia, z tej perspektywy – to pewnie będę próbował ją podjąć.

Od strony marzeń więc na razie nie myślę o takiej roli, lecz owszem mam pewien pomysł teatru, ale nie teatru zawodowego z etatami i tym wszystkim, co dziś tak teatr pognębia. Teatru prościutkiego, szkolnego, który będzie służebny właśnie wobec programu szkolnego, programu zajęć z języka polskiego i literatury. Myślę o wystawianiu przedstawień, które będą pobudzały i ożywiały lekcje, które będą poszerzały horyzonty, a w które równocześnie może uda się wciągnąć również młodzież. Uważam, że jest to rzecz niezwykle ważna, która jednak została u nas zupełnie zarzucona: teatr szkolny z jego wspaniałą wielką tradycją szkolnego teatru jezuickiego, teatru pijarów. A przecież jeszcze przed kilkudziesięciu laty w każdej szkole był teatr. Dziś mało tych zespołów przetrwało, zostały wyrugowane przez różne środki masowego przekazu, czy inne atrakcje w cudzysłowie. Chciałbym (a właściwie chcielibyśmy, bo myślimy o tym w pewnej grupie), chcielibyśmy spróbować ożywić te tradycje, przywrócić teatrowi szkolnemu należne mu miejsce. Jeśli się to uda choć w części, to będzie bardzo ważne.

Czy ta wizja teatru, o którym Pan mówi, teatru tak bardzo praktycznego w sensie społecznym, łączy się u Pana z kontekstem religijnym? Czy chrześcijaństwo odgrywa jakąś rolę istotną w Pańskiej koncepcji?

Z pewnością chrześcijaństwo odgrywa tutaj dużą rolę. Wydaje mi się, że *z a s a d n i c z ą*. Wszystko właściwie, co próbuję w tej dziedzinie robić – a czy to się udaje, to jest inna sprawa – próbuję z inspiracji właśnie chrześcijańskiej. Również ten teatr, który chcemy teraz robić wraz z grupą niewidomych, to w czym biorę udział nadal jako aktor recytując w Kościele, to wszystko w mniejszym lub większym stopniu znajduje się w kręgu ethosu sztuki chrześcijańskiej. Może właśnie w tym planowanym teatryku szkolnym będzie więcej miejsca na to, co nazwałbym szeroko pojętą inspiracją chrześcijańską, bez której właściwie nasza literatura, poezja, czy dramaturgia nie istnieje. Próba uświadomienia tego faktu młodzieży wydaje mi się niezmiernie ważna. Jest bowiem tak, że próbowano dotąd i po części to się chyba udało, jakby podzielić na pewne działki to, co składa się na kształtowanie młodego człowieka. W szkole panował i chyba panuje nadal model świecki takiego kształtowania, o charakterze scjentystycznego czy innego określonego światopoglądu, w tym sensie bardzo zamknięty. O Bogu, o wie-

rze mówiło się tam bardzo mało. Jednym słowem szerszego otwarcia na sprawy wiary nie było i nadal jest mało. Z kolei tę rolę winien jakby pełnić Kościół – poprzez katechezę. Ponieważ sam param się katechezą dla dzieci niedowidzących, więc mogę coś na ten temat powiedzieć. Uważam, że zbyt małą rolę w katechezie u nas odgrywa inspiracja kulturalna: wyjście od, czy jakby pokazanie świadectw w dziedzinie sztuki, kultury, nie tylko zresztą polskiej. I tak powoli ten obszar jakże ważny w Polsce gdzieś od lat pięćdziesiątych, w którym właśnie kultura kręgu chrześcijańskiego odgrywała tak istotną rolę w kształtowaniu światopoglądu młodego człowieka, przestał istnieć albo został utracony na rzecz innych światopoglądów. Mamy na pewno w tej chwili jedno lub dwa pokolenia, które tego obszaru przeżywania zostały pozbawione. I wydaje mi się, że jest rzeczą niezwykle ważną, aby przywrócić ten obszar pokoleniu, które teraz wchodzi w życie kultury. Po prostu chodzi o obszar zainteresowań inspiracji kultury chrześcijańskiej w literaturze. Są nazwiska wspaniałych, wielkich pisarzy współczesnych, które w programach szkolnych prawie nie istnieją: Hanna Malewska, Zofia Kossak-Szczucka, Antoni Gołubiew i inni. Nie sposób tu zresztą ich wszystkich wymienić.

Narzuca mi się, na podstawie tej rozmowy, wyraźna cecha ethosu aktora czy człowieka teatru, jaki Pan reprezentuje. Myślę zresztą, że jest to cecha ethosu aktora współczesnego, różnego od komedianta dawnych wieków czy super-rzemieślnika Stanislawskiego. Można ją w skrócie chyba nazwać wartością wyjścia poza grę. Do spraw społecznych i moralnych, ku prawdzie.

Mogę odpowiedzieć w swoim imieniu, że będąc aktorem, jestem przede wszystkim osobą w społeczeństwie, kimś kto stara się odpowiedzieć na wezwanie Boże i wezwanie bliźniego – czasem się to udaje, czasem nie. To jest w każdym razie dla mnie najważniejsze. Może nie cyzeluję techniki aktorskiej i nie dobieram sobie ról dlatego właśnie, że zobaczyłem człowieka potrzebującego, że tego człowieka pokazał mi Pan Jezus. I właściwie chodzi tu cały czas o prawdę. Ta prawda, myślę, jest wzorem niedościgłym – tą prawdą jest Jezus Chrystus – i każdy powinien do niej starać się zbliżyć, aktor też.

25 października 1989 r.